



W cieniu baobabów

Pewnego dnia dostałem informację, że mam pojechać w sam środek afrykańskiej sawanny. Spakowałem się i pojechałem.

Pewnego dnia dostałem informację, że mam pojechać w sam środek afrykańskiej sawanny. Spakowałem się i pojechałem.

Wątpliwy wyczyn

Reakcja moich znajomych i rodziny na wieść o moim wyjeździe zaczęła mnie wbijać w przekonanie, że wkrótce stanę się kimś w rodzaju: Kukuczki, Kamińskiego, czy Szymborskiej, którzy uczynili coś wielkiego dla Polski. Jednak już na lotnisku w Londynie moje wyobrażenie o ogromie mojego osiągnięcia runęło z hukiem. Okazało się, że nie będę ani pierwszym człowiekiem, ani pierwszym białym, ani nawet pierwszym Polakiem, który leciał tego dnia do Afryki. W Jumbo Jecie lecącym do Nairobi w Kenii nie było ani jednego wolnego miejsca.

W Nairobi przywitały nas tłumy elegancko ubranych, z gracją poruszających się pracowników lotniska. Moją pierwszą uwagę zwrócili ci właśnie pracownicy. Przez sześć godzin oczekiwania na następny samolot przyglądałem się im i próbowałem ustalić czym dokładnie tak wielka rzesza ludzi się zajmuje. Ostatecznie stwierdziłem, że niczym za co należałoby pobierać wynagrodzenie. Podrywali koleżanki z pracy, opowiadali żarty przez krótkofalówki i nieustannie poprawiali garnitury. Jedynymi ludźmi, którzy cokolwiek robili byli sprzątacze z miotłami. Czasami coś zmiatali. Swoimi spostrzeżeniami podzieliłem się z oczekującą na samolot do Tanzanii murzynką. Ta uśmiechnęła się ze zrozumieniem i powiedziała: „Taka jest Afryka”.

Ostatnie pół godziny przed odlotem było dla pasażerów bardzo nerwowych. Dwudziestu pracowników odprawiało trzydziestu pasażerów i panowało przy tym takie zamieszanie, że nie byłem pewien czy ja i trzy inne osoby, którzy staliśmy na końcu, dostaniemy się na pokład samolotu. Dla porównania na lotnisku w Berlinie przez pół godziny trzy osoby odprawiły ponad sto osób.

Minęły ostatnie dwie godziny mojej podróży i w końcu po 40 godzinach od wyjścia z domu dotarłem do stolicy Zambii, Lusaki. Teraz miałem odbyć rozmowę z oficerami imigracyjnymi. Nie mieli na sobie mundurów i wyglądali na osiemnastolatków, którzy właśnie skończyli jeździć na deskorolkach. To od nich zależało czy dostanę wizę. Denerwowałem się, bo na lotnisku w

Berlinie nie chcieli mnie wpuścić do samolotu do Londynu twierdząc, że potrzebuję wizę do Zambii. Przekonywałem ich stanowczo, że jej nie potrzebuję, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć skąd taką informację posiadałem. Życie miało zaraz to zweryfikować.

„Na jak długo Pan przyjechał? Po co Pan przyjechał? Skąd Pan przyjechał? Co to w ogóle za paszport? Polski? Czy Pan wie, że dzisiaj Polska grała z Portugalią? Mecz był fatalny. Wasza drużyna musi więcej atakować! To był kiepski mecz. Ajajaja jaj! Jak Pan wróci do kraju to musi Pan coś w tej sprawie zrobić. Oni nie mogą tak grać. Niedobrze. Za wizę musi Pan zapłacić \$25. Czy Pan się zgadza?„ Wyczerpany z radością się zgodziłem. Chciałem już odejść, ale nie mogłem, bo oficerowie wciąż trzymali mój paszport i rozmawiali ze sobą o meczu, a w dodatku dołączyło do nich jeszcze dwóch innych z zaplecza, by kontynuować ten wątek. W długim ciągu pasażerów stałem jako jeden z pierwszych i było mi strasznie głupio. W końcu zapłaciłem i odszedłem szczęśliwy, że obyło się bez problemów. Mężczyzna za mną za wizę zapłacił \$50.

Steven, Amerykanin, który przyjechał po mnie na lotnisko rozpoczął nasze spotkanie od pytania: „Słyszałeś o tym jak fatalnie Polska przegrała dzisiaj mecz z Portugalią?” Płacąc za parking strażnik z budki zainteresował się skąd jestem, Gdy usłyszał, że jestem z Polski natychmiast nawiązał do meczu i złapał się za głowę.

Na kolację zjadłem awokado wielkości małego ananasa i poszedłem spać.

Oaza na pustyni

Znalazłem się na farmie Riverside leżącej przy jednej z niewielu dróg krajowych, która biegnie z Kairu w Egipcie do Kapsztadu w RPA. Jakieś 30 lat wcześniej do Zambii przyleciał dr Foster i za własne pieniądze kupił duży kawałek ziemi, który zamienił w jeden z najpiękniejszych obecnie zakątków kraju. Stworzył tutaj oazę. Podczas, gdy w zimie cały kraj wskutek braku deszczu zamienia się w pustynię, farma Riverside tryska fontannami wody, życiem i uśmiechem. Większość z ponad 400 ha ziemi pokrywa plantacja bananów, resztę porastają drzewa pomarańczowe, mandarynki, papaje, awokado, brokuły oraz bakłażany.

Na farmie mieszka stu pracowników, a dwustu każdego dnia dochodzi, czasami idąc przez dwie godziny rano i dwie po południu wracając. Są to nieliczne w kraju osoby, które otrzymują regularne zarobki, a ich rodziny mają zapewnioną opiekę medyczną i dostęp do nauki. Stu dwudziestu dorosłych zdobywa tam konkretne zawody. Są szczęściarzami, bo 85% ludzi w Zambii jest bezrobotnych.

Instytucja jest prowadzona przez wyznawców Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego i powstała, aby nieść praktyczną pomoc ludziom. Misjonarzami są ludzie z różnych krajów, którzy przyjeżdżają tam z rodzinami zwykle na kilka lat. Spotkałem przystojnego Amerykanina,

Allyna, który przebywał na farmie już od osiemnastu lat i odpowiadał za projekty budowlane. Najmłodszymi misjonarzami są studenci, a także uczniowie szkół średnich, którzy biorą sobie urlop dziekański i przyjeżdżają na rok, pomagać i uczyć się życia. W ten sposób bardzo często przeżywają największą przygodę swojego życia, a przede wszystkim poznają siebie prze co łatwiej im ustalić co chcieliby robić w przyszłości.

W odludnych miejscach kraju młodzi wolontariusze z farmy założyli cztery kliniki i regularnie od ośmiu lat się nimi opiekują. Gdy przyjeżdżają ich Toyoty Land Cruisery, z odległych wiosek schodzą się matki ze swoimi pociechami. Rozpoczyna się ważenie, mierzenie, szczepienie i rozdawanie żywności. Kilkadziesiąt kobiet zawsze jest w ciąży. Misjonarze robią im testy, uczą opieki nad noworodkami, zasad higieny oraz antykoncepcji. Często proste, a dla nas oczywiste wskazówki, ratują tym ludziom życie. Wskaźniki są dramatyczne. 30% społeczeństwa nosi wirusa HIV. Wiele noworodków umiera.

Niepotrzebnie zabierałem ze sobą tak dużo mydła, proszku do prania oraz szamponu. W najbliższym sklepie mogę dostać to wszystko. Kupowanie warzyw i owoców w Zambii jest wielką przyjemnością. W przeliczeniu: 1 kg pomarańczy kosztuje 10 gr, 1 kg bananów – 5 gr, 1 kg awokado – 1,20 zł, 1 kg arbuza – 50 gr.

Jest czerwiec. Od marca nie spadła w tym kraju ani jedna kropla deszczu i nie spadnie aż do października. Ziemia jest wyschnięta. Nasuwa się pytanie: Jak można żyć w takich warunkach? Ludzie mieszkają w glinianych lepiankach bez wody i prądu. Śpią na matach na twardych glinianych podłogach, a pomimo tego zawsze widać białe zęby na ich uśmiechniętych twarzach. Pomimo, że bez mebli, łazienek i kuchni ich życie wypełnione jest radością i optymizmem. Może nie wiedzą, że można mieć więcej? Często zadawali mi pytanie: Czy ludzie w Polsce są biedni? Nie wiedziałem co odpowiedzieć.

Życie w lepiance

Ludzie w Zambii nie jedzą ziemniaków, ani chleba. Są dla nich zbyt drogie. Podstawą wyżywienia jest shima (potrawa z kaszy kukurydzianej). Gdy jej zabraknie ludzie umierają.

Dzieci nie mają psów, ani kotów, ale za to mają małpy, kobry i pytony. Pomimo braku telewizji nie nudzi się im. W pobliskiej rzece Kafue żyją krokodyle i hipopotamy. Codzienna szkoła przetrwania wygrywa pod względem atrakcyjności z gadżetami elektronicznymi. Znalazłem wielką przyjemność w rozmowach z nimi. Nie mają zabawek, a umieją się bawić jak nikt inny. Z wielką pasją przez długie godziny robią misternie wypracowane samochody z drutu i piłki w worków foliowych. Bardzo lubią śpiewać. Nie cierpią na ADHD czyli tak często występujący wśród dzieci zachodu zespół hiperaktywności i braku uwagi, który zdecydowanie jest owocem życia w naszej cywilizacji.

Według sugestii gospodarzy, którzy mnie zaprosili nie zaszczepiłem się. Choroby, na które można szczepią w Polsce rzadko występują w Zambii. Natomiast faktyczny problem stanowi malaria, ale na nią nie ma szczepionek. Są dostępne jedynie środki profilaktyczne, lecz w skutek dużej ilości odmian tej choroby trudno jest dobrać właściwy; po drugie wiele z nich ma silne działanie uboczne.

Malaria jest roznoszona przez samice komara widliszka, które uaktywniają się po zmroku. Długie rękawy oraz spraje na owady są wystarczającą ochroną. W nocy konieczne jest spanie pod moskitierą. Nikt z ponad stu gości, którzy przyjechali na farmę nie zachorował. Zmarło natomiast trzech miejscowych.

Naturalny cud świata

Konferencja, na którą byłem zaproszony była dobrze zorganizowana. Uczestnikom oprócz świetnych wykładów dano także niepowtarzalną możliwość zobaczenia jednego z siedmiu naturalnych cudów świata - słynnych Wodospadów Wiktorii na rzece Zambezi. Są one najważniejszym pomnikiem przyrody w Afryce Południowej. W górnym biegu rzeka płynie powoli przez szeroką, płytą dolinę, gdzie w pewnym momencie przeciska się przez zagradzającą jej drogę głęboką rozpadlinę skalną, formując wodospady. W odległości 50 km można dostrzec unoszącą się w powietrzu na wysokość 300 m chmurę pyłu wodnego.

Ludność tubylcza nazywa je w swoim języku "Mosi-oa tunya" co znaczy "dym, który grzmi". Z daleka słychać łoskot przetaczającej się wody.

Obszar wokół Zambezi, największej zarybionej rzeki Afryki, do dzisiaj pozostał nietknięty przez cywilizację. Przez środek grzmiących potoków przebiega granica między Zimbabwe i Zambią. Łącznikiem pomiędzy krajami jest most wznoszący się na wysokości 111 m, wybudowany jeszcze przez Anglików w 1915 roku.

Wodospady obejrzelśmy raz w dzień, a potem wróciliśmy do nich jeszcze w nocy. Obszar jest ogrodzony i strzeżony, w nocy zamknięty. Przez dwie godziny namawialiśmy strażnika, aby nas wpuścił. Zdecydowanie odmawiał, ale mój kolega z Meksyku był bardzo przekonujący. W końcu się zgodził i mogliśmy wejść, by podziwiać rzadkie zjawisko, które występuje tylko raz w miesiącu, gdy księżyc jest w pełni - tęczę. Podczas, gdy niebo jest barwy szaro-niebieskiej na jego tle rysują się wyraźne, kolorowe pasy. Zdecydowanie najpiękniejsze obrazy maluje przyroda.

Na safari

Drugą wielką atrakcją był wyjazd na safari do Parku Narodowego Hwange w Zimbabwe. Na powierzchni 14 tysięcy kilometrów kwadratowych mieszkają wszelkie gatunki antylop, bawoły, małpy, zebry, żyrafy, hipopotamy, krokodyle, nosorożce, słonie oraz mnóstwo innych gatunków zwierząt, a w szczególności ptaków. Camping z eleganckimi klimatyzowanymi domkami jest

ogrodzony podwójnym płotem pod napięciem. Do takich środków bezpieczeństwa zmusza niewiarygodna ilość dzikiej zwierzyny.

Safari polega na podróżowaniu samochodem terenowym po sawannie z aparatem fotograficznym lub kamerą w pogotowiu, a potem przesiadywanie w restauracji dzieląc się swoimi wrażeniami i zapoznając ludzi z całego świata.

W Hwange żyje tysiąc lwów. Niestety żadnego nie udało się nam zobaczyć pomimo, że zapewne leżały sobie gdzieś obok w trawie wygrzewając się na słońcu. Z kolei w całym parku mieszka tylko siedem nosorożców i te udało nam się spotkać.

Osoby zmęczone jazdą samochodem mogą pójść na piesze safari z przewodnikiem. To wielka atrakcja iść o zmroku w nadziei, że zaraz gdzieś w trawie zobaczy się lwa. Niestety nie spotkaliśmy żadnego, ale przebiegające tuż przed nami chodzące na wolności olbrzymie żyrafy i zebry też zrobiły wielkie wrażenie.

Podczas przejażdżek nie wolno wysiadać z samochodu. Może to być niebezpieczne. Samochód, którym jechałem miał z tyłu ślady pazurów lwa, który się rzucił w pogoń za pasażerem, który podczas poprzedniego safari na chwilę wysiadł, aby z wygodniejszej pozycji porobić ładne pamiątkowe zdjęcia.

Zdecydowanie najlepszy widok rozciąga się z drewnianych krytych dachem tarasów stojących tuż przy wodopojach. Stąd z odległości 20 m można obserwować zwierzęta, które przychodzą zaspokoić swoje pragnienie.

Pewnego dnia zmęczony jeżdżeniem samochodem poprosiłem moich kompanów, aby mnie zostawili na kilka godzin przy jednym z tarasów. Pozostałem sam w ciszy po środku sawanny. Na brzegu dużego oczka wodnego leżały w bezruchu dwa krokodyle. W pobliżu harcowało około pięćdziesięciu pawianów. Małe wchodziły mamom na głowy i wygłupiały się. Z wody wystawały oczy hipopotama. Przyszły trzy żyrafy. Stały w półszpagacie, aby długie szyje mogły sięgnąć wody. Pojawiły się także trzy zebry. Wówczas na horyzoncie pojawiła się chmura kurzu. Z niej zaczęły wyłaniać się okrągłości większe i mniejsze, a w końcu bardzo malutkie. Słonie. Pochodowi nie było końca. Wtedy z drugiej strony pojawiła się podobna chmura i z kolejnej trzecia. W ciągu 30 minut przyszło sto sześćdziesiąt słoni. Było to w okolicach godziny 17:00. W dalszym ciągu byłem sam. Widok był poruszający. Nie bałem się. Jeden ze słoni uderzył trąbą leżącego na brzegu krokodyla tak, że tamten uciekł do wody.

Słoniątka, gdy się rodzą już na wstępie nie są malutkie, bo ważą 150 kg. Chodzą między przednimi nogami mamy. Dorosły słoń jednorazowo wypija 160 l wody.

Gdy tak wszystkie zwierzęta zaspokajały swoje pragnienie, wśród słoni nagle pojawiło się poruszenie. Zbliżały się dwa bawoły. Gdy były blisko stada słoni, ani trochę nie zwolniły. Słonie rozstąpiły się tworząc przejście do wodopoju. Bawoły przeszły pomiędzy nimi. One piły, a słonie czekały aż skończyły i odeszły. Oczy hipopotama wciąż pozostawały nieruchome.

W drodze powrotnej nasz samochód nieoczekiwanie znalazł się pośrodku stada słoni. Gdy próbowaliśmy ruszyć do przodu zrobiło się niebezpiecznie. Przewodnik stada stanął naprzeciwko nas, podniósł uszy i trąbę i zaczął nas atakować. Nasza Toyota była przy nim malutka. Kierowcy udało się z piskiem opon wycofać w lukę, która na chwilę powstała pomiędzy słoniami. Pasażerowie jeszcze przez jakiś czas siedzieli bladzi nic nie mówiąc. Osoby z innych samochodów, które widziały to zdarzenie pytały później: „Robiliście zdjęcia? Nieźle to wyglądało.”

Zaduma nad Afryką

Siedząc w nastrojowej restauracji w widoku na sawannę patrzyłem na licznych turystów i cieszyłem się, że istnieje tak duża rzesza ludzi, która na tyle ceni piękno, że uważają iż warto przejechać przez pół świata i wydać dużo pieniędzy, aby oglądać zwierzęta, aby być bliżej przyrody i cieszyć się jej bogactwem.

Największe wrażenie w Afryce zrobiły na mnie baobaby, olbrzymie drzewa wyglądające jak gdyby ktoś posadził je do góry korzeniami. Według legendy tak się właśnie stało. To one stały się dla mnie symbolem Afryki, twórcami magicznej atmosfery, za którą teraz tęsknię. Niestety nie udało mi się spędzić przy nich zbyt wiele czasu, choć tego bardzo chciałem, gdyż pasażerowie z samochodu, którym jechałem wciąż mnie poganiiali, gdyż chcieli jechać dalej, by oglądać kolejne atrakcje tego niezwykłego kontynentu.

Maciej Strzyżewski

Zapraszam do obejrzenia albumu ze zdjęciami do artykułu:

<http://artface.web-album.org/album/6535,w-cieniu-baobabow>